

Wielka lumpeninteligenska rewolucja liberalna

22 maja 2013

Tytułem wstępu: poniższy tekst nie rości sobie pretensji do bycia naukowym. Nie opieram się na badaniach, lecz wykorzystuję tu metodę mikroobserwacji socjologicznych, którą wypracowałem dzięki mojej Mamie. Zwróciła Ona moją uwagę, że jeśli jakieś zjawisko występuje w mikroskali – tzn. w naszym bezpośrednim otoczeniu – to prawdopodobnie jest powszechne. Dlatego (oczywiście po odsianiu przypadków jednostkowych i skonfrontowaniu autopsji z innymi dostępnymi źródłami) można pokusić się o uogólnienie na podstawie własnych obserwacji.

Punktem wyjścia niech będzie polski charakter narodowy. Odwołując się do tego pojęcia, demaskuję siebie jako „nacionalistę”, bo nie dość, że postrzegam Polaków jako realną (a nie umowną) zbiorowość, to jeszcze przypisuję im pewne „esencjonalne” właściwości. Muszę jednak zastrzec, że mój esencjonalizm jest ograniczony: nie twierdzę ani że charakter narodowy jest niezmienny, ani też, że bez reszty determinuje każdą jednostkę przynależącą do danej zbiorowości. To po prostu średnia statystyczna zachowań, wynikająca ze zinternalizowanych poglądów i konwencjonalnych obyczajów.

Opisowi i – rzadziej – analizie charakteru narodowego Polaków poświęcono już wiele uwagi. Akcentowano (np. Edmund Lewandowski) takie cechy jak duma granicząca z pychą („albośmy to jacy tacy”), romantyczny idealizm („siły na zamiary!”), nietrwałość („słomiany ogień”), bałaganiarstwo („polnische Wirtschaft”), indywidualizm („musi to na Rusi”), egalitaryzm („szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”), wreszcie beztroskę w sprawach materialnych („zastaw się, a postaw się”). Ze swej strony zwrócę uwagę na paradoksalny związek polskiego indywidualizmu z konformizmem. Otóż wymóg poszanowania zdania każdej jednostki skutkował koniecznością

jednomyślności, co z kolei oznaczało dążenie do konsensusu, a od praktyki „ucierania” zgody do nawyku „niewychylania się” jest już tylko krok. Szlachecką mentalność I Rzeczypospolitej ukształtował też snobizm, będący pochodną rozwarstwienia braci szlacheckiej: dla przeciętnego „pana brata” magnat był niedościgłym (choć czasem traktowanym z zawiścią) wzorem do naśladowania.

Taka wizja polskiego charakteru narodowego wymaga jednak rewizji z „marksistowskiego” punktu widzenia, gdyż ignoruje podziały klasowe. Gdy dokładniej wczytać się w opisy zachowań i obyczajów Polaków sprzed II wojny światowej, dostrzeżemy, że występowały wówczas co najmniej dwie polskie kultury i co za tym idzie – dwa typy psychiki: szlachecki oraz mniej widoczny chłopski. Chłopska mentalność stanowiła w pewnym sensie przeciwieństwo szlacheckiej. Romantycznemu idealizmowi przeciwstawiała przyziemny pragmatyzm („lepszy wróbel w garści”), niestałości – upór i zawziętość („chłop żywemu nie przepuści”), bohaterstwu – spryt (jak ten Mazur, co śmierć oszukał), sobiepaństwu – „ducha gromadzkiego”. Kultury te nie pozostawały jednak hermetycznie odizolowane, gdyż od czasu uwłaszczenia szlacheckie wzory były przejmowane – zrazu nieśmiało i ukradkowo – przez wieś. Chłopi snobowali się na panów.

Na marginesie zwróćmy uwagę, że konformizm połączony ze snobizmem czyni z Polaków typ, który określić można jako wiecznie spóźnionych snobów. To znaczy są to ludzie, którzy nieustannie marzą, aby być światowi, nowocześni, up-to-date, ale za zmiennymi trendami nie nadążają. Rzekomy konserwatyzm Polaków to mit – to tylko postawa ludzi, którzy nie zauważyli, że moda się zmieniała. Przyczynę tej specyficznej ociężałości widzę w postszlacheckim zadufaniu, przekonaniu o własnej nieomyślności. Gdy jednak taki osobnik dostrzeże, że prawdziwy Wzór-Do-Naśladowania jest gdzie indziej, na wyprzódki zmienia swe preferencje, dokonuje konwersji. Słowackiego „paw i papuga” doskonale oddaje tę cechę naszego charakteru.

Polskie społeczeństwo dogłębnie przeorała II wojna światowa, a potem odgórna rewolucja społeczna PRL. W nadwiślańskim „melting pot” ścierały się pierwiastki szlachecki i chłopski. Z jednej strony spod socjalistycznego pokostu przeziarała wciąż żywa tradycja szlacheckich, na co zwracał uwagę w swej „Rzeczpospolitej Polaków” Edmund Osmięczyński. Z drugiej jednak strony już w latach 70. zaobserwowano zjawisko tzw. kurasiowszczyzny: otóż idolem widzów wojennego serialu „Polskie drogi” okazał się być nie szlachetny i romantyczny porucznik Niwiński, ale zapobiegliwy cwaniak sierżant Kuraś. Rewolucja „Solidarności” była jeszcze recydywą ducha szlacheckiego w jego najlepszych – idealistycznych, egalitarnych i wolnościowych – aspektach, jednak kapitalistyczna transformacja ustrojowa lat 90. odmiennie sformatowała nasz charakter narodowy.

Przemiana ta nie dokonała się szybko ani bezboleśnie. Początkowo miały miejsce chaotyczne zmagania, w szranki stanęły trzy typy Polaków: sieroty po PRL, liberalni „Europolacy” i neosarmaci, pielęgnujący tradycyjną polskość (opisywałem to przed kilkunastu laty w tekście „»Dusza polska« w procesie transformacji”). Typ pierwszy rychło został jednak zdradzony przez własnych przywódców, którzy dążyli do porozumienia za wszelką cenę z establishmentem skupionym wokół Agory; w rezultacie lata 90. zdominował konflikt między modernizatorskim i proeuropejskim liberalizmem o Janusowym obliczu Balcerowicza i Kwaśniewskiego a nacjonalpopulizmem wyrażanym przez „Solidarność” i Samoobronę. Obie formacje wyczerpały się u progu XXI stulecia. Z jednej strony stopniowa poprawa sytuacji życiowej szerokich mas rozładowuje populistyczną rebelię, z drugiej sojusz Agory i Belwederu rozbiła afera Rywina. Zwycięstwo PiS w 2005 roku było jeszcze triumfem Polski „starej”, która paradoksalnie łączyła zakorzenione w PRL grupy społeczne z narodowo-chrześcijańską ideologią antykomunistycznego oporu lat 80. Był to już jednak łabędzi śpiew etosu konserwatywno-wspólnotowego. Stymulowany przez wielkokapitałowe media protest przeciw Kaczyńskim

(postrzeganym jako anachroniczni i autorytarni) był katalizatorem, który zaktywizował okrzepłą już klasę średnią i zapewnił hegemonię intelektualną Platformie Obywatelskiej. Ukształtował się nowy, liberalno-konserwatywny konsens ideowy, który selektywnie czerpiąc z obu antagonistycznych obozów (liberalizm ekonomiczny jednego oraz konserwatyzm obyczajowy drugiego), zdominował polskie życie intelektualne i polityczne. Ale i ten konsens okazał się tylko prowizorycznym stanem chwiejnej równowagi, który pęka na naszych oczach (pisałem o tym w tekstach „Erozja” oraz „Palikot, czyli populizm po polsku”).

Konwulsje te odzwierciedlają dużo głębszą przemianę mentalności i obyczajowości Polaków. Istotą owej przemiany jest synteza pewnych elementów mentalności chłopskiej i szlacheckiej. Z jednej strony „szlachecki” idealizm tudzież gnuśność ustąpiły „chłopskiej” zaradności i pragmatyzmowi, z drugiej – cechujący dawną wieś duch gromadzki uległ postszlacheckiemu indywidualizmowi. W kapitalizmie lepiej radzą sobie pazerni egoiści. W rezultacie indywidualizm – wcześniej moderowany skłonnością do poświęceń dla Dobra Wspólnego – zwyrodniał w socjaldarwinowski egoizm, a pragmatyzm – w zwyczajny cynizm. „Za darmo umarło” – rozbrzmiewa dziś od Bałtyku do Tatr. „Ważne, coby moja miseczka była pełna”. „Ręka zgina się ku sobie”. „Śmierć frajerom!”. Przeciętny Polak stał się stadnym egoistą przekonany o swojej wyjątkowości. Trochę przypomina to sytuację z „Żywota Briana” Monty Pythona: Brian woła do tłumu: „Musicie być sobą! Każdy z was jest wyjątkowy!” – a tłum powtarza tępo: „Musimy być sobą. Każdy z nas jest wyjątkowy”.

Owe zmiany mentalnościowe i obyczajowe odzwierciedlają z kolei trzęsienie ziemi, jakie dotknęło strukturę społeczeństwa polskiego. Degradacji jednych towarzyszył awans społeczny drugich, obowiązująca była wszakże strategia przetrwania indywidualnego, w myśl hasła „ratuj się kto może!”. Nastąpił rozkład tradycyjnych grup społecznych, charakterystycznych dla

społeczeństwa industrialnego – nie tylko w skali makro (wielkoprzemysłowa klasa robotnicza), ale też mikro (grupa sąsiedzka, a nawet rodzina nuklearna, będąca co najmniej od zaborów ostoją polskiego społeczeństwa). Erozji uległ związany z dotychczasowymi strukturami system wartości i oparta na katolicyzmie, a niedostosowana do nowych czasów obyczajowość. Miliony ludzi odnajdując się w nowych rolach społecznych – takich jak przedsiębiorca, migrant czy rozwodnik – spostrzegło, że nic ich nie wiąże z dotychczasowym środowiskiem, a czasem też z całą tradycyjną polskością.

W ten sposób docieramy do jeszcze jednej – bodaj najbardziej rewolucyjnej – przemiany psychospołecznej. Polskie społeczeństwo, jeszcze w latach 80. mobilizujące się pod sztandarem „jednakowych żołądków”, obecnie odchodzi od egalitaryzmu. Badania opinii publicznej rejestrują rosnące przyzwolenie dla nierówności społecznych. Sytuacja, w której „duży może więcej”, traktowana jest jako coś tak samo naturalnego jak prawo ciężenia. Jest to novum, gdyż od XVI wieku w umysłach Polaków królowała zasada równości. Rozpowszechniony kompleks niższości (chłopa wobec szlachcica, szaraka wobec magnata, Polaka wobec cudzoziemca) wytworzył oparty na zawiści mechanizm społecznej samokontroli, nazywany „polskim piekłem” (w myśl anegdoty, że tylko polski kocioł w piekle nie jest strzeżony, gdyż sami rodacy pilnują, by nikomu nie udało się zeń wydobyć). O ile jednak dotąd zawiść wyrażała się w dążeniu, by nikt nie był lepszy ode mnie – teraz każdy Polak chce być lepszy od drugiego. Rezultatem jest chaos i walka wszystkich ze wszystkimi.

Obnoszeniu się z poczuciem wyższości sprzyja fakt, że – bez względu na wszelkie zastrzeżenia krytyków transformacji – większość społeczeństwa odnotowała awans materialny i społeczny. Grupy zdegradowane zostały spacyfikowane i zdeintegrowane, a jako apatyczne i peryferyjne (jak emeryci, bezrobotni, pracownicy PGR) nie stanowią zagrożenia dla systemu ani nawet – będąc niewidocznymi – wyzwania dla

panującej ideologii. Kompleks niższości jest jednak nierozłącznie sprzęgnięty ze swym rewersem w postaci kompleksu wyższości. Rozdęte ego nuworyszy musi znaleźć sobie Gorszego, by paść się poczuciem swej przewagi. Z tego rodzi się opisywana przez Jerzego Drewnowskiego mizoptochia. Chęć wywyższania się zdaje się być główną motywacją ideologicznego zaangażowania zarówno polskich lewicowców, jak i prawicowców. Oni nie czują się – i nie chcą się czuć! – solidarnymi ze swoim środowiskiem, swoją zbiorowością – ludem czy narodem. Oni chcą się czuć lepsi od swego otoczenia postrzeganego jako „roszczeniowy motłoch” bądź „moherowy ciemnogród”.

Bodaj najliczniejszą grupą subiektywnych (obiektywnie nie jest to tak jednoznaczne) beneficjentów Transformacji są „Młodzi Wykształceni z Wielkich Miast”, potocznie zwani „lemingami”. Jest to grupa specyficzna, którą w większym stopniu niżli status społeczny determinuje pewien kod kulturowy, błyskotliwie opisany przez Roberta Mazurka w „Alfabecie leminga”. To roczniki wyżu demograficznego, które objęła rewolucja edukacyjna (nigdy wcześniej tak duży odsetek młodzieży nie kończył studiów wyższych, nawet jeśli była to przysłowiowa Wyższa Szkoła Kroju i Szydełkowania) i których start życiowy przypadł na okres poakcesyjnej prosperity. Dyplom wyższej uczelni, praca w wielkim mieście albo w innym kraju – oznaczały dla nich awans społeczny, który traktowali jako potwierdzenie słuszności ideologii liberalnej. Podział kulturowy nałożył się na konflikt pokoleń. „Młodzi” wraz z wyższym standardem życia (a czasem tylko oczekując owego wyższego standardu!) przejmowali liberalne i kosmopolityczne wartości klasy średniej. W ten sposób udaje im się połączyć oba wymiary wyższości: socjalno-ekonomiczny i kulturowo-obyczajowy. Nawet jeśli faktycznie są niepewnymi jutra nisko opłacanymi prekariuszami – to pielęgnują w sobie wyniosłość wobec „robołi”; nawet jeśli jakoś ich taśmowo produkowanych dyplomów pozostawia wiele do życzenia – to obnoszą się z wielkoświatową pogardą dla „zacofania i ciemnoty”. Faktyczne zróżnicowanie tej grupy zaowocowało wytworzeniem się

wewnętrznej hierarchii: „lemingi” o rzeczywiście wysokim statusie społecznym odcinają się od aspirujących dopiero do tego statusu „słoików”. Wszyscy jednak kurczowo trzymają się drabiny społecznej, obawiając się, że z niej spadną – stąd bezwarunkowa lojalność wobec wyzyskującej ich korporacji. Wroga postrzegają tylko wśród gorszych od siebie, nigdy na wyższych szczeblach hierarchii, na które sami wszak mają nadzieję się wspiąć.

W szczególności dotyczy to coraz liczniejszego segmentu warstw średnich, złożonego z przedsiębiorców, w tym też z samozatrudniających się mikroprzedsiębiorców, których od prekariatu różni tylko stan świadomości. W praktyce samozatrudniający są wyzyskiwani na równi z pracownikami etatowymi. Rzecz jednak w tym, że sami drobni przedsiębiorcy za takowych się nie uważają. Hasło „Mam firmę!” w ich mniemaniu jest zaklęciem otwierającym drzwi do lepszego świata. Dla nich wrogiem nie jest wielki kapitał, z którym przegrywają na każdym kroku, nie są wrogiem oszukujące ich banki – wrogiem są pracownicy, bezrobotni, emeryci. Każdy, kto nie ma firmy, jest ich zdaniem nierobem i pasożytem. Nienawiść do zmitologizowanego „państwa” przyjmuje formy wręcz paranoiczne. Z furją odrzucając jakiekolwiek koncesje na rzecz Dobra Wspólnego (a nawet samo jego pojęcie!) radzi by oprzeć całe społeczeństwo na relacjach rynkowych.

Pozycja leminga, którą można porównać do pozycji szlachciury-hołysza uczepionego magnackiej klamki, sprawia, że lumpeninteligencja i lumpenburżuazja są ostoją panującego ładu społecznego. To polski paradoks, bo w Europie Zachodniej młoda miejska klasa średnia stanowi zaplecze ruchów lewicowo-libertarnych pokroju partii Zielonych. W Polsce jednak te warstwy nie poprą żadnej rewolucji czy bodaj rewolty, bo uważają siebie za beneficjentów systemu, a „moherową” biedotę za zagrożenie dla swej pozycji i stylu życia. Zwolennicy modernizacji są zarazem obrońcami status quo.

Rodzi to permanentną frustrację wśród młodej inteligenckiej

lewicy, która wegetuje niezrozumiana na marginesie własnego środowiska. Przeciętny leming postrzega lewaka jako sympatycznego może, ale jednak dziwaka – takiego, co to przydaje się w walce z moherami, ale przesadza z egzotyką i nieżyłościowością. Przeszczep nowolewicowych idei z zachodnich uniwersytetów nie przyjął się w polskiej młodej klasie średniej. Owszem, leming może na złość moherom obnosić się z tolerancją wobec gejów czy „Afroamerykanów”, ale zarazem nie cierpi muzułmanów (ba, islamofobię traktuje jako legitymację swej europejskości i laicyzmu!), nie trawi ekologów i nie rozumie feministek. Komiczną wręcz ilustrację ostatniego zjawiska stanowią internetowe komentarze pod newsami o feministycznych protestach przeciw seksizmowi – co drugi komentator uważa te inicjatywy za sprawkę pruderyjnych „katoli”. To samo tyczy się ostatniego odkrycia i najnowszej nadziei naszej hipster-lewicy – tzw. ruchów miejskich. Pomijając już, że jest to retrospektywna utopia, przypominająca ruralistów głoszących „Back to the Land” w I połowie XX wieku, abstrahując od faktu, że rosnąca mobilność utrudnia wytwarzanie się „lokalnego patriotyzmu” – w Polsce ruchy miejskie nie mają racji bytu. Tubylczy bywalcy IKEI i centrów ogrodniczych akceptują wielkie miasto takie, jakim jest – to ich Ziemia Obiecana.

...Powyższa diagnoza może budzić sprzeciw, jako obraz nazbyt pesymistyczny. Czy naprawdę winniśmy porzucić wszelką nadzieję? Oczywiście nie – nadzieja trwa dopóki żyjemy. Gdyby osiemdziesiąt lat temu ktoś napisał, że Polacy staną się zbiorowością przyziemnych groszorobów, uznane by to zostało za absurdalną fantazję. Proces przekształcania psychiki zbiorowej trwa permanentnie, więc wszystko jest możliwe. Panta rhei.

Autor: Jarosław Tomasiewicz

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Tomasiewicz (ur. 1962) – doktor nauk politycznych,

pracownik naukowy Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego, publicysta, autor książek „Terroryzm na tle przemocy politycznej (zarys encyklopedyczny)” (2000), „Między faszyzmem a anarchizmem. Nowe idee dla nowej ery” (2000), „Ugrupowania neoendeckie w III Rzeczypospolitej” (2003) i „Zło w imię dobra. Zjawisko przemocy w polityce” (2009), a także wielu tekstów publicystycznych i naukowych. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.